

Stocznowiec spod żagli

Trolejbus nr 25 wiezie mnie w stronę Chyloni. Po prawej stronie mijam perony dworca głównego, dalej Grabówek, a po lewej stronie charakterystyczny budynek Akademii Morskiej. Sklepy Biedronki i Lidla zostawiam po prawej. Skręć w prawo w Chyłońską. Za zakrętem przystanek.

Wsiadam przed typowym gomułkowskim wieżowcem. Windą na 4-te piętro. Dzwonek. Dwa pokoje, typowa dla tamtych czasów ciemna kuchnia. Jestem w mieszkaniu człowieka, który prawie całe swoje życie poświęcił dwom żaglowcom: „Darowi Pomorza” i „Darowi Młodzieży”. Nie tam, żeby jako kapitan czy inny oficer, ba, nie był nawet praktykantem czy uczniem. Kazimierz Dopke – człowiek, o którym dzisiaj piszę – przyszedł do pracy w Państwowej Szkole Morskiej w 1963 roku, zaraz po zawodówce, gdzie wykształcił się na mechanika samochodowego i po wojsku, gdzie był m. in. czołgistą. W PSM-ce było kilka samochodów i tylko on jeden. Jeździł więc, w zależności od potrzeb, od osobówki do ciężarówki. Aż tu nagle w 1971 roku dyrektor Jurewicz mówi mu tak:

– *Pakuj, Kaziu, manatki, idziesz na „Dar Pomorza”.*

Zameldował się u intendenta, ten wskazał mu lichutkie miejsce do spania, zwane dumnie koją, i kuchnię jako miejsce pracy. Szef kuchni, słynny Józek Sajnaja, z kolei szczotę, wiadro i zakres robót. Do niedawna na każdym statku była najniższa w statkowej hierarchii funkcja bajcooka czy jarzynowego. Praw teoretycznie żadnych, a roboty za wszystkich. Ale nic to. Czas mijał. Żaglowiec *nakręcał* mile. Aż przyszedł czas, gdy Kazia

przeniesiono z kuchni na „salony” załogowe na stewarda. W porównaniu z poprzednim stanowiskiem, tu mógł o sobie spokojnie powiedzieć, że jest „panisko”.

W drugiej połowie lat 70. Kazio Dopke „skumał” się bliżej z ówczesnym starszym bosmanem Antkiem Bańdrowskim, który w wolnych chwilach strugał okręciki i wkładał je do butelek. A strzegł tajemnicy ogromnie. Aż kiedyś po pobycie w Santa Cruz na Teneryfie i po opróżnieniu sporej ilości słynnego koniaku 501, bosman Antoni wtajemniczył Kazia w arkana robótek „statki w butelce”.

Kiedyś była to sztuka wykonywana przez marynarzy na starych żaglowcach, z czasem zapomniana i zaniechana, bo i czasu wolnego coraz mniej, i brak tej niesamowitej cierpliwości, a i z butelkami doskonale nadającymi się do tej marynarskiej sztuki trudniej coraz trudniej. Ale Kazio Dopke złapał bakcyła budowniczego statków żaglowych w butelkach i już nie odpuścił. Jego sława w portach była coraz szersza. Doszło do tego, że na statek przychodzili goście, którzy nie pytali o komendanta czy innego statkowego VIP-a, tylko o tego gentlmana co to statki w butelkach buduje. Jednym w prezenzie, innym za walutę wymienną, a sława i drobny interesik jakoś się kręciły. Gdyby ci, których swoją budową wprawiał w zachwyty, widzieli, w jakich warunkach na „Darze Pomorza” powstają te wspaniałe dziełka, bardzo by się dziwili. Gdzieś na dziobie w małutkiej „kapciorce”, pomiędzy kotwicą i magazynem z linami. Ale on cieszył się, że może budować te swoje stateczki w butelkach. W międzyczasie awansował na starszego stewarda i obsługiwał już specjalnych gości, jacy często bywali na pokładowych rautach fregaty. W związku z tym uzyskał też dostęp do odpowiednich butelek, niezbędnych do dalszego prowadzenia swojej małej stoczniowej produkcji.

O Kaziu nie zapomnieli budowniczowie „Daru Młodzieży” i zrobili mu niewielką wprawdzie, ale ustawną pracownię modelarską, aby jego stare marynarskie hobby mogło się dalej się rozwijać. Znowu setki mil pod żaglami, morza, oceany, kraje i kontynenty. Był Horn



i Japonia, była Australia i tu bliżej. Tak to trwało aż do emerytury. Toteż jego specyficzne butelki do dzisiaj stoją na poczesnych miejscach w gabinetach gubernatorów, premierów, admirałów flot. Na pewno dwa z nich znajdują się w gabinecie prezydenta Gdyni Wojciecha Szczurka.

Ale że wszystko się kiedyś kończy, w 2001 roku skończyło się też żeglowanie właściciela małej stoczni. Lecz nie podzieliła ona losów tych dużych, a przeniesiona na czwarte piętro wieżowca na Chyloni nadal produkuje ku chwale i radości tych, co już mają, i tych

którzy być może będą mieli niepowtarzalny żaglowiec w butelce.

Na koniec muszę się pochwalić. Przepływałem z Kaziem na obu żagłowcach wiele tysięcy mil morskich, ale dopiero w powrotnym długim rejsie z Kanady na „Darze Młodzieży”, na moje kolejne urodziny dostałem od niego wspaniały prezent: model „Daru Młodzieży” w butelce, który dumnie żegluje po moim mieszkaniu do dzisiaj.

Michał Dąbrowski

Krwiodawcy

Podczas zbiórki krwi 14 października 2010 roku, studenci Akademii Morskiej w Gdyni oddali 20,7 litrów krwi. Akcja zorganizowana przed budynkiem uczelni przez Koło Naukowe „Grupa Młodych Menedżerów”, cieszyła się bardzo dużym zainteresowaniem. O godzinie 10.00 przed ambulansem Regionalnego Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa zebrała się spora grupa studentów, chcących ratować życie potrzebującym. Kolejka dawców krwi z godziny na godzinę tylko się zwiększała, a personel ambulansu dawał z siebie wszystko, aby obsłużyć jak najwięcej osób.

Była to już czwarta akcja zorganizowana przy uczelni przez KN „GMM”. Łącznie zebrano 77,85 litrów krwi. Kolejne akcje zaplanowane są na 16 listopada (wtorek) i 16 grudnia (czwartek). Już dziś zapraszamy na nie wszystkich studentów oraz pracowników uczelni.



90 LAT SZKOLNICTWA MORSKIEGO Publikacja na jubileusz

***Navigare necesse est, vivere non est necesse* (łac. żeglowanie jest rzeczą konieczną, życie – niekonieczną), to nie tylko tytuł, ale i rodzaj duchowego motta przewodniego książki.**

Okrągły, dziewięćdziesiąty rok nauki polskiej morskiej uczelni zakończył się 2 października – i do tego dnia udało mi się autorowi doprowadzić jego kronikę. Książka ta zawiera w sobie skrócone i na nowo opracowane poprzednie publikacje: „Biała Fregata”, „Szkoła Morska Tczew-Gdynia 1920-1969”, „Wyższa Szkoła Morska” oraz dwie o „Darze Młodzieży”.

– Jestem równolatkiem „Daru Pomorza” od podniesienia na nim polskiej bandery, w tym roku minęło mi też 60 lat od ukończenia nauki w „Peesemce”, 50 lat od wydania pierwszej książeczki z zakresu tzw. marynistyki, a 48 lat od rozpoczęcia pracy w morskiej uczelni, pracy, która trwa do dziś – mówi Andrzej Perepeczek. – Ciekawe i nieraz burzliwe były losy polskiej Szkoły Morskiej w jej 90-letniej biografii, ciekawe też było moje życie, związane ze szkołą i z pracą na morzu. Na pewno nie pisałem o wszystkim i o wszystkich, na pewno po-

miąłem wielu, niewątpliwie godnych upamiętnienia, ale proszę mi to darować. Pisząc tę książkę wspominałem setki moich studentów, dziesiątki koleżanek i kolegów z pracy. Niemała ich grupa wyszła już w rejs, z którego się nie wraca. Pozostała po nich tylko – albo lepiej – aż pamięć!

